

# Katarzyna Kubisiowska: "Pilch w sensie ścisłym"...

## czyli Pilch wbrew Pilchowi

"Pilch w sensie ścisłym" to tytuł w punkt, "ktoś tam... coś tam w sensie ścisłym", to bodaj najulubiejsza fraza Jerzego Pilcha, mistrza charakterystycznych fraz. Niestety, na tym punktualność się kończy, "w sensie ścisłym" bowiem nie da się nikogo opisać a już na pewno nie da się opisać osoby żyjącej na dobitkę będącej pisarzem - satysfakcjonująco. Bo pisarz ma wyłączność na kreację własnego portretu i nikt i nigdy nie jest w stanie zbliżyć się choćby do jego widzenia samego siebie, to jest zwyczajnie niemożliwe (martwy pisarz - bohater biografii - nie może protestować, a protesty rodzin najczęściej na nic się zdają, co najwyżej przyczyniają się do wzrostu zainteresowania biografią, odnoszą zatem skutek przeciwny do zamierzonego).

Napisać biografię malarza, rzeźbiarza, muzyka czy aktora, to jeszcze, choć i to nie jest zadaniem łatwym acz może odrobinę wdzięczniejszym, bo piszący biografię pisarz czy dziennikarz ma nad biografowanym przewagę, pisanie to jego profesja w przeciwieństwie do bohatera biografii, który musi się przed tym faktem ugiąć. Ale być biografem żyjącego pisarza? "Liczą na to, że zdążę umrzeć", skomentował z właściwym sobie przekąsem Pilch, gdy zadzwoniła do niego Katarzyna Kubisiowska, prywatnie z Pilchem od lat zaprzyjaźniona dziennikarka, i poinformowała go o zamiarze pisania jego biografii na zamówienie wydawnictwa "Znak", na co dostała dwa lata. Potraktował czarnym humorem ale pobłogosławił.

Po trzech latach stan rzeczy jest następujący: książka ukazała się drukiem, ludzie kupują, czytają, recenzenci recenzują, a pisarz z biografką nie są już przyjaciółmi. Kubisiowska dla Dużego Formatu (z 4 listopada 2016): "Pół roku przed ukazaniem się mojej książki mail od Jerzego z jednym dosadnym słowem, bym, mówiąc eufemistycznie, zaprzestała z nim kontaktów". Ostatnia próba nawiązania kontaktu telefonicznie, to samo, "odpierdol się", że porzucimy eufemistyczne uniki na rzecz wierności cytowanej wypowiedzi. Biografowanie osoby zawodowo operującej językiem to delikatne przedsięwzięcie, jak widzimy.

W tym miejscu zacytujmy hojniej bohatera biografii, bo to rzadka okoliczność, że biografowany nie tylko że sam jest pisarzem-zawodowcem, ale i na temat biografii na piśmie się wypowiadał, a konkretnie napisał w swoim publikowanym na żywo dzienniku pod datą 9 marca 2010 o książce Artura Domosławskiego "Kapuściński Non-Fiction" zaraz po jej ukazaniu się i burzy wynikłej wokół: "w Polsce oczekiwania wobec biografii kogoś, kto wiódł żywot niebanalny, niekonwencjonalny i ryzykowny, są takie, by była banalna, konwencjonalna i nudna. /.../ nie ma co sądzić dyrdymałów, że Domosławski kogoś krzywdzi. Taka czy inna krzywda jest nader często w los bliskich artysty wpisana; można to kunktatorsko omijać, łagodzić, kastrować, czekać z pisaniem pół wieku - w końcu to także nasza pimkowska szkoła: stawiać na nijakość i odwlekać w nieskończoność". I narzeka, że biografii w Polsce jest niedostatek, bo zbyt leniwi i zbyt ostrożni jesteśmy, "ciotka, która się źle poczuje", robi i za wymówkę, i za wykładnię.

"Doprawdy istotny, o wiele istotniejszy, niż się zdaje, wkład w kulturę polską mają Artur Domosławski i jego wydawca. Postawili na szybkość, zdecydowanie i - tak jest - twórczy brak skrupułów", dosala... A przecież wydawnictwo Znak, pierwotny zleceniodawca wtedy "na Kapuścińskiego" i teraz "na Pilcha", właśnie że odzegnał się od wydania Domosławskiego i dopiero wydawnictwo Świat Książki wzięło na siebie ryzyko wydania dzieła jeszcze przed ukazaniem się w sprzedaży wywołującego kontrowersje, licząc na zyski tym większe, im bardziej samosfinansuje się promocja wynikła ze skandalu.

Aż tu taki radykalny zwrot w poglądzie. Jak się więc po raz tryliardowy możemy przekonać, czym innym jest bezpieczne teoretyzowanie, a czym innym bezpośrednia praktyka, czyli przekonanie się na własnej skórze. Szkoda, że opinia Pilcha o własnej biografii sprowadziła się do tej krótkiej acz jednoznacznej konstatacji, bo ciekawa byłabym obszerniejszego statementu. Choćby dlatego, że Pilch jednak doczekał wydania swojej biografii, nie umarł zawczasu, więc mógłby rzucić światło na to, co ewentualnie miałyby do powiedzenia na temat opowieści o swoim życiu zmarły niestety Kapuściński. Co takiego aż tak bardzo mu zawadziło? Bo chyba nie niezgodność z faktami, te autorka biografii weryfikowała - jak zrozumiałam z prologu i epilogu - na bieżąco z żywym bohaterem biografii?

A zatem ton. Tak, to być może. Wszak w "Kapuścińskim Non-Fiction" też ostatecznie poszło o ton, tę dziwnie fałszywą nutę co raz to niemile pobrzmiwającą w trakcie lektury pasjonującej skądinąd opowieści (Kapuściński wiódł żywot niebanalny i ryzykowny i także opisał go jego uczeń, przyjaciel i duchowy spadkobierca, nie jest to bynajmniej lektura konwencjonalna i nudna). Ale o ile w "Kapuścińskim" dało się wychwycić ten fałszywy ton, o tyle w "Pilchu" moje ucho przynajmniej niczego nie usłyszało. Owszem, mam inne zastrzeżenia do autorki, ale akurat ton wydaje się być wolny od zgrzytów na styku zapewnień o przyjaźni i umniejszającej optyki. W zasadzie w przyjaźń Kubisiowskiej do Pilcha wierzy się (wierzyłam) do końca.

Wrócę więc do pytania pierwotnego, czy w ogóle ktokolwiek może opisać kogokolwiek "w sensie ścisłym", a w szczególności, co jeśli opisujący z opisywanym się przyjaźni? Innymi słowy czy przyjaźń jest gwarantem obiektywności i prawdziwości z zachowaniem należytej przyjaźni życzliwości. Czy brak dystansu wynikający z emocjonalnej bliskości, przyjaźni mianowicie, ostatecznie jest na korzyść, czy na niekorzyść biografii? A może jest to niemożliwy do pogodzenia paradoks? I nawet nie w tym banalnym sensie, że przyjaciel wiedząc niejedno, ujawnia tajemnice przyjaciela, czyli zdradza? Raczej w sensie różnic w postrzeganiu świata, bo choć w słowie "przyjaźń" mamy bliską przystawalność jaźni, to czyż nie przyjaciel właśnie najbardziej nas zaskakuje, gdy nagle się okazuje, że w podobnej sytuacji reaguje inaczej niż byśmy się spodziewali, co czasami może wręcz prowadzić do mniej czy bardziej gwałtownego zerwania przyjaźni, czego przykłady znamy z własnego życia i z życiorysów tzw. wielkich? Czy Jerzy Pilch spodziewał się takiego opisanego przez osobę pozostającą z nim w przyjaźni? Nie! Czy Katarzyna Kubisiowska spodziewała się takiej reakcji ze strony latami przyjaźniącego się z nią pisarza? Też nie!

Co więc poszło nie tak? Przyznaję, ciekawa byłabym wiedzieć. A może Pilch traktujący swoje życie jako materiał literacki i doświadczenie bycia zbiografowanym za żywota tak potraktuje i zajmie bardziej zniuansowane niż we wstępnym cytacie stanowisko? Oby! W końcu to się zdarza naprawdę rzadko, że człowiek żyjący a zarazem człowiek biegle w słowie staje się obiektem biografii i może się do niej z całym bogactwem swojego języka odnieść w sensie do-słownym i od-pornym, ergo: w sensie ścisłym. Dla literatury byłby to cenny przyczynek poznawczy. Dla mnie też. Ryszarda Kapuścińskiego miałam szczęście poznać a z biografią Domosławskiego się nie zgodzić, Jerzego Pilcha miałam szczęście nie poznać i z biografią się zgodzić. Miałam też nieszczęście poznać niektórych kolegów - w tym tych od wódki - Pilcha, jako że Pilch, choć urodzony wiślanin ("wiśłok"), rocznik 1952, związany jest z Krakowem i jego środowiskiem towarzysko-kulturalnym, a ja jestem wręcz urodzoną krakowianką (w roku 1953). Ocieraliśmy się więc o siebie, acz w sensie zdecydowanie nie-ścisłym.

Tu całkiem à propos sądzę, że autorka "Pilcha w sensie ścisłym" też lepiej by zrobiła, gdyby tę pilchową frazę "w sensie ścisłym" uściśliła jakimś doprecyzującym przymiotnikiem i nadała książce tytuł w rodzaju "Pilch w sensie niezupełnie ścisłym". Taka asekuracja chroniłaby ją dopuszczając perspektywę subiektywną, odautorską. Tym bardziej, że Jerzy Pilch jest postacią

wyjątkowo migotliwą, trudną do uchwycenia. Niby pisze swoje powieści w pierwszej osobie, niby są to wydarzenia z własnego życia wzięte, więc - zwłaszcza jeśli dodać do tego pisane latami felietony - pisarskie dzieło Pilcha to w zasadzie niekończąca się autohistoria, zarazem jednak nie wolno dać się zwieść, powieściowy Jerzy Jerzego Pilcha to nie całkiem on, to jakby przesunięte do niepokojącej nieostrości literackie widmo pisarza: dobrze widzę, czy coś mi się w oczach mieni? Jakby bohaterowie Pilcha, liczni alter-Jerzowie, będący i niebędący nim samym, dostawali dodatkowe aury, widmową rozedrganą poświatę dającą w trybie zwrotnym blasku żywemu autorowi.

Choćby taki prosty przykład, Jerzy Pilch urodził się 10 sierpnia, w powieści "Marsz Polonia" mamy Jerzego, mamy sierpniowy upał, mamy dzień urodzin, ale jest to... 15 sierpnia, czyżby upał odebrał mi jasność widzenia? Ale nie! Napisane jest "15 sierpnia", bez cienia wątpliwości! I kto autorowi zabroni? Tylko czy wobec tego szczegółowy opis ulicy Hożej (w Warszawie, gdzie mieszka autor książki) od jego domu po sklep całodobowy odpowiada rzeczywistości autora czy jest rzeczywistością bohatera "Marszu Polonii" i jego drogą z domu do całodobowego? Ha! Trzeba by się tam przejść z książką w ręce i porównywać. Tylko po co? Bohater Pilcha jest pełnokrwisty, żywy, natenczas 52-letni, rozdygotany, od pewnego czasu cierpi na trzęsące się ręce (efekt nieleczonej choroby alkoholowej? bo chyba jeszcze nie zdiagnozowano u niego choroby Parkinsona?), jego droga do całodobowego jest taka, jak ją opisał autor. Ani trochę inna. Krótko mówiąc ta właśnie migotliwość Pilcha, ten szczególny fenomen opisywania siebie w przesuniętym do siebie samego widmie, powinien być jakoś (jak?) ujęty w biografii pisarza.

Tymczasem autorka biografii jakby wiednie (czy bezwiednie? nie wiem, co gorsze?) odarła Pilcha z jego aur - które przecież są jego immanentną właściwością - i opisała go z całkowitym wyłączeniem jego blasku. I nie w tym rzecz, żeby mu zostawiać pozłotę, ale żeby go nie pozbawiać jego autentycznego światła, na który sobie w końcu zapracował. Jerzy Pilch jest zupełnie wyjątkowym zjawiskiem "ery transformacji", jednym z najbardziej wyrazistych karier literackich. W jego życiorysie jest wprawdzie pewna typowość, od goniącego za chudym zarobkiem intelektualisty lat 80., gdy na półkach tylko ocet i musztarda, po beneficjenta przemian, celebrycko opłacaną pisarską gwiazdę mediów, ale jest też wpisana w jego los całkowita odrębność od leworęczności począwszy i przynależności do Kościoła ewangelickiego, w katolickiej Polsce czasów Jana Pawła II. po - trzeba to uwydatnić - zupełnie niepolską, bo luterską, pracowitość.

Pedantyczny miłośnik gorzkiej żołądkowej w ilościach niepoliczalnych - oksymoron sam w sobie, bo pijacy są zwykle (?) bałaganiarscy - pracuje systematycznie, solidnie, skutecznie, w stałych godzinach, odtąd dotąd, jakby nie pił, nie balangował, nie zmieniał kobiet, wręcz nie grzeszył. Jakby był idealnym wzorcem protestanta z przenoszonym w głębi DNA z dziada pradziada hasłem "ora et labora". A zarazem ciągle leczącym się i nigdy niewyleczonym alkoholikiem, którego w końcu dopiero ciężka dolegliwość, choroba Parkinsona, wyzwoliła z demona alkoholu, jak sam to autoironicznie komentuje: Pan Bóg patrząc na niego stwierdził, że cudu już tu nawet on nie dokona, ale zsyłając na pijaka parkinsona, pomoże mu rzucić picie i nie będzie to wymiana siekierki na kijek, bo parkinson to choroba przewlekła i jest szansa, że powlecze się dłużej, niż alkoholizm.

Porwać się na napisanie biografii znanego znajomego pisarza to już jest przedsięwzięcie wysokiego ryzyka, ale serwować ją jako "całą prawdę o..." to jest wdepnięcie na minę (lub wpuszczenie przez wydawcę autorki na minę). Więc biografia jednego z bardziej cenionych pisarzy ostatniego ćwierwiecza, czy produkt rzucony na rynek obliczony na zysk porównywalny do tego z prasy plotkarskiej, gdzie rzesze dziennikarzy (dziennikarzyn raczej) nieprzerwanie produkują "całą prawdę" o wszystkich modnych celebrytach, choć wiadomo, że z prawdą ma to niewiele wspólnego,

ot, pisze się, co się sprzedaje, sensację?

Ale jako że sam biografowany się obraził (ponoć jego mama także), a autorka musi się pogodzić z krytycznymi głosami, pochwałę to, co, moim zdaniem, jest pochwałą warte: Katarzyna Kubisiowska zgromadziła mnóstwo materiału i ułożyła go w sporego gabarytu dokument. I taką wartość widzę w tej biografii, jest to zbiór różnych wspomnień, wypowiedzi, fragmentów z dzienników, cytatów... przetkanych ilustrującymi opowieść zdjęciami. Dla wielbicieli pisarstwa Pilcha jest tu szereg informacji pozwalających lepiej zrozumieć osobowość i dzieło pisarza.

Jeśli dodać do tej lektury wywiad-rzekę "Zawsze nie ma nigdy" przeprowadzony z Jerzym Pilchem przez Ewelinę Pietrowiak, także a właściwie to inaczej, bliżej z nim zaprzyjaźnioną, jaki nieco wcześniej ukazał się na rynku księgarskim, i czego nie traktowałabym jako "zdrady" pisarza wobec autorki biografii, to otrzymujemy dość zadowalający portret Pilcha, choć w sensie ścisłym raczej nierówny. Niemniej należy założyć, że czytelnik też umie rozróżnić sensacyjność pewnych szczegółów od sensowności ich publikowania.

Poza tym rzeczywiście czytałoby się płynniej, gdyby autorka biografii ponad przedstawianie zbierania materiałów krok po kroku, więc niejako dziennika powstawania książki jeden do jednego, postawiła na bardziej przemyślany wybór i bardziej zróżnicowane akcentowanie. Ale wtedy byłaby to już całkiem inna biografia i kto wie, jak zareagowałby Pilch?

Bo jak się tak dobrze zastanowić, kto z żyjących ludzi nadaje się na bohatera biografii? Ten, którego nazwisko gwarantuje zysk. Są to więc najślynniejsi muzycy, wokaliści, sportowcy, czasami aktorzy, czy artyści-plastycy, bywa że politycy... ale pisarze? Pisać biografię żyjącego pisarza? Żyjący pisarz sam o sobie pisze i robi to tak, jak mu się podoba. Że jest to bardziej autokreacja, niż spowiedź jak w konfesjonale? A kto by miał ochotę publicznie się spowiadać? Człowiek ma prawo do prywatności, swoich tajemnic!

Poza tym cóż jest ciekawego w życiu pisarza? Pisarz całymi dniami (a i nocami) siedzi i pisze i nie ma w tym nic spektakularnego. Dlatego w programach typu "Mam talent" czy "X-Factor" nie występują pisarze, nie są szołmenami, mało tego, najczęściej nie lubią występować, wolą pisać, niż mówić. Aż tu nagle ktoś bierze ich sobie na cel, grzebie w ich życiu, a że żyją, grzebie w żywej tkance, wywleka na światło dzienne ich sekrety, przeinacza fakty, skłania ich przyjaciół i znajomych do wypowiedzania się, a jeśli ci niechętnie, to byłych partnerów, ci z reguły chętniej, a świadectwo byłych jest najczęściej zdeformowane, bo była bliskość to brak dystansu na zawsze.

Który z żyjących pisarzy doczekał się własnej biografii? No, owszem, Mario Vargas Llosa, wiekowy już noblista uwikłany swojego czasu w politykę, mąż własnej ciotki, a po niej własnej kuzynki, jest czym wypełnić książkę, żeby się sprzedawała! Kto poza tym? Jeśli pisarz, ale nie sławny noblista, to musi to być pisarz bardziej znany, niż jego dzieło, nawet jeśli ludzie go nie czytali, jest tak popularny, że znają jego nazwisko i czują się "jakby go znali". Taką popularność dają media. Dźwignia nad dźwignię. Na tej zasadzie Michel Houellebecq, francuski pisarz uważany za prowokatora i skandalistę, więc odpowiedni materiał na opisanie, doczekał się swojej biografii i natychmiast się od niej odciął. Na podobnej zasadzie bohaterem biografii stał się Pilch. Jego nazwisko jej memem, czyta się go czy nie czyta, nazwisko się zna. A mem działa jak logo, mózg każe sięgać po coś, co jest w nim wypalone, znana marka, a więc kupujemy!

Czy konsument nabywający biografię Pilcha chce bliżej poznać ulubionego pisarza? Jego warsztat? Jego filozofię? Czy raczej chce zaspokoić ciekawość życiem celebryty, który wyjątkowo jest pisarzem? Czesław Miłosz pomagał swojemu przyszłemu biografowi, Andrzejowi Franaszkowi, w

zbieraniu materiałów do napisania biografii. Ale wiadomo, że biografia Miłosza przeznaczona jest dla wielbicieli poezji i badaczy dzieła poety.

Czy ktoś, kto nie zna sztuk czy dzienników Mrożka, sięgnie po biografię "Mrozek. Striptiz neurotyka"? Śmiem wątpić (mimo zachęcającego marketingowo tytułu). Ale "Pilcha w sensie ścisłym" mogą chcieć przeczytać także ci, którzy, bywa, czytują jego felietony, którzy wiedzą z ekranizacji powieści o piciu, że pił, słyszeli, że ma parkinsona, może nawet doszło do nich, że lubił zmieniać panienki na coraz to młodsze, ale czy dla jego pisarskiego dzieła?...

Tak czy tak, biografia pióra Kubisiowskiej *mnie* zachęciła do zgłębienia pism Pilcha, przeczytałam dwa tomy dzienników, doczytałam niedoczytane powieści, uzupełniłam sobie lekturę wywiadem "Zawsze nie ma nigdy", obejrzałam film "Wtorek", którego wcześniej nie znałam i przypomniałam sobie "Żółty szalik" (książkę "Pod Mocnym Aniołem" znałam, film swojego czasu zrecenzowałam, link poniżej). A teraz noszę się nawet z zamiarem wykupienia dostępu do Tygodnika Powszechnego, gdzie Pilch na bieżąco publikuje dalszy ciąg dzienników, oby jak najdłużej, skoro i tak już nie spełnił oczekiwań wydawcy i nie umarł jak planowano\*. Lubię niepodrabialny styl Pilcha, ciekawią mnie jego refleksje, trafiają w mój smak, w mój czas i mój "end". W tym duchu limerikonka na końcu:

*Pewien luterski literat z Wisły  
sвій czas opisuje w sensie ścisłym,  
"Pod Mocnym Aniołem"  
czas toczy się kołem:*

*Pisz! Pij! Lecz się! Pisz! Pij! Lecz!... Bal istny!*

*(ebs)*

\*

PS. Wyobrażam sobie, że przeczytanie o sobie czegoś, czego nie chciałoby się przeczytać - prawdy a tym bardziej nieprawdy - jest wyjątkowo przykrym doświadczeniem, raz wydrukowane idzie w świat i umarł w butach. Jak się z tego wybronić? Jak z tym żyć? Dawniej ludzie obawiali się takiego "osławienia", dziś jest to niejako wpisane w los sław, na których oparty jest przemysł kulturalno-rozrywkowy. Z drugiej strony umówmy się, czytelnicy nie wczytują się aż tak w czyjąś biografię, jak sam biografowany. Najlepszym przykładem wydaje się być sam Jerzy Pilch jako czytelnik "Kapuścińskiego Non Fiction", który z jednej strony wydaje się bronić dzieła Domośławskiego, z drugiej atakując tych, którzy krzyczą, że Kapuściński kłamał a jego reportaże powinny być zaliczone do beletrystyki, powinien jako pierwszego zaatakować właśnie autora biografii najważniejszego reportera drugiej połowy XX wieku w skali jeśli nie światowej, to na pewno polskiej.